

Renata Zmigrodzka

# Z porannym hołdem u Częstochowskiej Panienki

Kiedy na stację wjechał „osobowy” z Warszawy, Częstochowa jeszcze spała. Tylko co zegar donośnie uderzył pięć razy i na peronie było niemal zupełnie ciemno. Przyjezdni niepewnie poruszali się wyskakując z wagonów, a konduktorzy świecąc wózków ręcznymi latarkami nawoływali do pośpiechu.

Miasto otuliła, nisko ścieląc się tuż przy ziemi, gęsta mgła jesiennej poranki. Poprzez białe opary ledwo widoczne były szczyty domów, rzadko rozsiadane elektryczne latarnie rzucały blade światło poprzez koronkową zasłonę okna. Gdzieś w górze wyglądał dziwnie biały i młoty księżyc. Pograżona w ciemnościach Aleja Najświętszej Marii Panny nie była jednak pusta. W ciemnej nocy donośnym echem rozlegały się kroki zdążających w stronę Jasnogórskiego Klasztoru przechodniów. Szli szybko, mijając się w pośpiechu, zaskoczeni nieprzyjemnie chłodem wstającego poranka. Na rogu zmierznięty policjant mocował się z jakimś mocno zagazowanym jegomościem, któremu towarzyszyło jeszcze kilka osób rozbawionych i roześmianych. Ci udawali się do-

piero na spoczynek, po wesołej spędzonej nocy. Nagle i zda się zgło niespodziewanie rozdzwoniła się aleja, metalicznym głosem sygnaturki wzywającej do kapliczki Najświętszej Marii Panny na odświeżenie Cudownego Obrazu.

Coraz donośniej i coraz bliżej brzmiał śpiew dzwonu. Droga ze stacji do kościoła wydawała się przyjezdnym nieskończone długą. Już tuż tuż zdawało się brzmieć sygnaturka, ale wroniejącej wiedzy kościoła nie widać.

Wyrosła wreszcie przed nami w oparach mgły w ciemnościach świtu listopadowego, gdzie dzień wstaje niespodziewanie, bez różowego brzasku wschodzącego słońca. Na dziedzińcu przed kościołem rojno.

— To pobożne babulinki modlą się tu codzień — powiedziała pewna robotnica fabryczna spiesząc do klasztoru — zazdrościmy im tego bo ja tylko tak jak dziś w niedzielę mogę być rano na odświeżeniu, w dzień zwykły idę do pracy.

Myliła się jednak. W tłumie, który zdołał do kapliczki, pobożne babulinki nie stanowiły większości.

Właśnie wchodziliśmy do kościoła kiedy zamilkła sygnaturka.

W jarzance się tysiącem światła, pełnej kwiatów, obwieszanej

metalowymi stygmatami kapliczki. Kłęcząc pochylając się w serdecznym pokłonie pobożni, babulinki, biją się w piersi młode i starsze kobiety z inteligencji, skłaniają nisko głowę mężczyźni, panowie elegancko ubrani, wojskowi, studenci i młodzież. Aż dziw, tyle osób. Jakaś pielgrzymka ustawiła się z boku z uwielbieniem wpatrując się w zasłonięty srebrną zasłoną Przepiękny Obraz.

— Eee, dziś to mało ludu, ale latem albo wiosną ho, ho — szepcze ktoś cichutko, aby nie zmącić świętej ciszy. Kiedy wskazówka zegara zatrzymała się na szóstej, cała kaplica nagle rozbrzmiała triumfalnym hymnem fanfar. Położne zda się tysięczne granie towarzyszy podnoszeniu się zasłony.

Fanfary brzmiały coraz donośniej, coraz triumfalniej i radośniej, aż powoli odśloni się cała postać Częstochowskiej Panienki, aż po ciężką brylantami i złotem koronę. Widać już złota sukienkę Najświętszego Dzieciątka i wszystkie głowy chyliły się nisko w hołdzie przed Królową korony Polskiej. Wnet pod sklepienia brzmieć zgodnie powitalna pieśń. Białe odziany kapłan przed ołtarzem odprawia pierwsze nabożeństwo. Przez umieszczone wysoko, zdobne witrażami okna powoli wkra-

da się świt. Granatowe szyby zmieniają z wolna barwę aż z ostatnią pieśnią nuconą przez tłum pielgrzymów i nabożnych do kapliczki wchodzi ledwo widoczny ponury listopadowy dzień.

Skończyło się nabożeństwo kapliczka jednak wciąż pełna. Tu wokół umieszczonych z boku konfesonów zabrał się ci, którzy w tym miejscu wypowiadali się i przyjąć Przenajświętszy Sakrament. Inni tłoczyli się w zakrystii gdzie księża święcą pamiątki nabyte w Częstochowie. To przyjezdni pragną zawieźć swym najbliższym świętą wodą skroplone medaliki, koronki i obrazki Częstochowskiej Panienki.

Kiedy kończy się pierwsze nabożeństwo i tłumy wyłegają na klasztorny dziedziniec na dworze jest już widno. Naprzeciw do kościoła śpieszą znowu pobożni, którzy chcą bodaj przez chwilę ponatrzeć na odświeżony Cudowny Obraz, aby zachować go na zawsze w pamięci. W Alei Najświętszej Marii Panny pod Jasną Górą, gdzie dumnie strzela w górę wieży kościoła, spotykają się wszyscy: ci, którzy już odwiedzili Najświętszą Panienkę i ci, którzy często po raz pierwszy dążą do świętego miejsca.



## Muzeum Sztuki Starożytnej powstało w Warszawie

W sobotę nastąpił akt podpisania umowy między gminą m. st. Warszawy i uniwersyteciem o przekazanie przez uniwersytet muzeum narodowemu w Warszawie wykopalisk egipskich, pochodzących z pierwszej polskiej wyprawy archeologicznej do Egiptu, zorganizowanej przed rokiem przez uniwersytet warszawski. Wykopaliska te znane są szerokim rzeszom publiczności z wystawy egipskiej.

Umowa przewiduje stworzenie w nowym gmachu muzeum narodowego w Warszawie przy al. 3-go Maja odrębnego, stałego działu sztuki starożytnej, który pozostawać będzie pod opieką naukową zakładu archeologii klasycznej U. J. P.

Na dział sztuki starożytnej muzeum narodowego w Warszawie złożą się, oprócz zdobyczy z ostatnich polskich wykopalisk, również zabytki, które muzeum już dawniej w zbiorach swych posiadało. W najbliższym czasie spodziewane jest znaczne powiększenie zbioru kolekcji marmurów grecko-rzymskich. Wszystkie wykopaliska, które zostaną zdobyte przez dalsze wyprawy do Egiptu uniwersytetu J. P., wcielone będą również do tego zbioru.

Umowa, zawarta między miastem Warszawą i stołecznym uniwersyteciem, kładzie podwaliny pierwszemu muzeum sztuki starożytnej w Polsce.

## Tajemnice egzotycznych krain Szczep niemych Indian

Człowiek XX wieku pokonał niejedną siłę przyrody, potrafił ją ujarzmić i wykorzystać dla swoich celów, nie wszędzie jednak dotarł i zarówno dzwice lasy, jak i niedostępne góry kryją niejedną tajemnicę.

Przed kilku miesiącami w dorzeczu Amazonki, na bagnistych, niedostępnych dla naukowca i badacza obszarach spotkano szczep Indian, który nie posiada mowy. Środkiem porozumiewawczym są nieliczne, o słabo rozwiniętej artykulacji dźwięki gardłowe.

Pierwsze wiadomości brzmiały tak fantastycznie, że uważano je za zwykłą kaczę dziennikarską, wynik niesamowitej kanikuli tegorocznej. Kiedy jednak zaczęły napływać relacje wiarygodnych członków wyprawy, naukowo potwierdzone sprawozdania, zrozumiano, że istotnie na Rio Piray mieszkają Indianie Quurunyna. Żyją

na stopie najbardziej prymitywnej, wystarczy wymienić, że nie znają chat - namiotów. Są pochliwi i nieulni, nie pociągają ich błyszczące szkiełka i woda ognista, którą biali wynieśli Indian, śpią na liściach, polują przy pomocy długich trzymetrowych strzał, zabijają zwierzę nie gajają do miejsca, w którym się zatrzymali, dzielą dość sprawiedliwie mięso między sobą i kobietami. Cechuje ich zupełne niezwracanie uwagi na kobiety i dzieci, poza jedzeniem dla nich nie pomagają im w niczym.

Napotykanie rzek, strumieni, starają się przebiec wzdłuż, mierzą głębokość strzałami, a kiedy napotkają głębokie wody cofają się, płynąć nie umiają.

Dokładne sprawozdania pozwolą na pewno bliżej poznać szczep Indian, który przez tyle wieków nie był znany białym.

## Ze stanu

### „Z miłości dla ciebie”

KINO „HOLLYWOOD”

W przeciwieństwie do filmów, w których występują słynni śpiewacy, reżyser filmu „Z miłości dla ciebie”, ogranicza się nie tylko do wykorzystania głosu śpiewaka, lecz daje mu odpowiednie tło, doskonałych partnerów i świetnie opracowany scenariusz. Może sama osnowa filmu jest za bardzo, jak na dzisiejsze upodobania, sentymentalna, może zbyt wiele jest tam dłużyzn reżyserskich, zwłaszcza jeśli chodzi o podkreślenie tego właśnie sentymentalizmu, ale ogólne wrażenie jest bardzo dobre. Drobne wkładki humorystyczne, i muzyczne (orkiestra cygańska) ożywiają całość.

Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście Jarosław Świd, doskonale i kulturalnie śpiewak, zewnętrznie prezentujący się nadzwyczaj miło i grający umiarkowanie, a więc dobrze. Kamilla Horn jest prawdziwą pensjonarką.

Całość warta zobaczenia. (zet).

## Wieczór Krymski w radio

We wtorek dn. 30 listopada o godzinie 20.00 organizuje Rozgłośnia Wileńska na fali ogólnopolskiej audycję folklorystyczną, na którą złożą się melodie narodowe i ludowe Tatarów Krymskich w wykonaniu chóru i orkiestry Zw. Studentów Tatarów w Bukareszcie. Słowo wstępne oraz krótkie objaśnienia przed koncertem wygłosi Edige Szynkiewicz.

## Ballyhoo - superreklama firm amerykańskich

Ballyhoo jest to określenie stworzone w Ameryce na określenie pewnego typu reklamy, posługującej się przesadnymi formami. Jeżeli zważymy, że w Ameryce niedzielne wydania niektórych dzienników wychodzą w objętości 250 stron, z czego ponad 100 poświęconych reklamie, zrozumimy, że, aby w tej masie inzeratów zwrócić uwagę na reklamowany zakład, trzeba było sięgnąć do niezwykłych metod i form ogłaszania się. Stąd powstała karykaturalna niekiedy przesada w reklamie, którą Amerykanie ochrzczili „ballyhoo”. To samo

jest w dziedzinie reklamy radiowej. W Ameryce istnieją 561 radiostacji prywatnych, które opierają swą egzystencję wybitnie na dochodach z reklamy. To też 90% programów radiowych poświęconych jest reklamie. Nie jest to nudna, piosenkami lub anegdotami przepiękna reklama naszychna radiostacji, lecz z talentem napisane skenche, w których przed mikrofonem występują sławni amerykańscy aktorzy literackiego i artystycznego. Skąd się wzięło określenie „ballyhoo” dla tego rodzaju reklamy, nikt nie wie. Dziś jest to najbardziej

rozpowszechnione słowo w Ameryce. Słowem tym określa się wszelkie obietnice reklamowe, które przekraczają granice ludzkiej możliwości. „Ballyhoo” oznacza superreklamę, która usiłuje zagłuszyć wszelką reklamę racjonalną i opierającą się na najdziwniejszych pomysłach, jak występiami girland na lokomotywie dla reklamowania linii Transcontinental Express, lub obwieszaniem domu konfekcyjnego od szczytu aż do ziemi stosami płaszców i ubrań, lub urządzeniem rewii piękności na tle olbrzymiego kopca kartofli, jak to zastosował pewien pomysłodawca farmer amerykański dla zalecenia konsumentom wyhodowanych przez siebie kartofli i t. p. Superreklama przez niewybredność i groteskowość swych norm zaczęła budzić reakcję w społeczeństwie amerykańskim, które, mając dużo rozumienia dla konieczności efektów zewnętrznych w reklamie sprzeciwia się jednak zbyt gwałtownej przesadzie. Do walki z tym typem reklamy wystąpiło czasopismo „Ballyhoo”, które dziś już ma ponad 100 tys. abonentów i jest bodajże jedynym piśmie w Ameryce, obywatelom się bez wszelkiej reklamy.

## Co wie Europejczyk o Amerykanach

Przeciętny mieszkaniec Starego Świata wie — według pisma „Esquisse” — o tym: że posilkł Amerykanina składają się wyłącznie z konserw, przygotowanych w puszkach; że samochody amerykańskie są tak tanie, że nie warto ich naprawiać. Kiedy auto zepsuje się, jest wyrzucane na śmietnik — jak stara gazeta; że Amerykanie umieją siedzieć jedynie z nogami na stole;

że po każdym krachu giełdowym tysiące Amerykanów rzuca się na łeb z drapaczów chmur; że Amerykanie tak są przyzwyczajeni do utarczek między gangsterami i policją, iż odgłosy strzałów nie przeszkadzają im spać; że jest jednak kilku kulturalnych Amerykanów, lecz ci mieszkają w Europie. Nie mniej ciekawe i... wesołe byłoby zestawienie tego, co przeciętny Amerykanin wie o Europie.

JERZY MARIUSZ TAYLOR

20)

## CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

Dr Johnke jednakże — trzeba to przyznać bezstronnie — nie miał na widoku żadnych korzyści materialnych. Jeżeli nawet marzył o zajęciu w przyszłości jakiegoś wybitniejszego stanowiska w państwowej służbie Rzeszy, to tak tylko jak sportowiec lekkoatleta marzy o laurze olimpijskim. Działalność jego była nawskroś ideowa i aż nie do wiary romantyczna.

Patrząc na tego nauczyciela wiejskiego o oczach bladoniebieskich, spoglądających surowo spod wielkich rogowych okularów, o jasných włosach, przetkanych przedwcześnie siwizną, na tego typowego „uczonego Szwabę”, nikt nie zdołałby odgadnąć, że ma do czynienia z czystej wody romantykiem, którego ulubioną lekturą byli Schiller i Goethe i dla którego Walhalla z całym jej pantheonem nie była wcale pojęciem abstrakcyjnym.

I znowu trudno byłoby dziś odgadnąć, że na drogę tego czysto romantycznego ujęcia Walhali, prowadzącego do apoteozy wszystkich co niemieckie, skierował doktora Johnkego tylko przypadek. Tak! To było tylko przypadek, że biedny, stale zapracowany Tkacz Johnke z Pabjanic, odwoławszy raz przy pomocy syna do Łodzi partię wyprodukowanych własnoręcznie kompletów bielizny jaegerowskiej, zabrał dziesięcioletniego Zygrydka do teatru, gdzie właśnie przyjezdna trupa niemiecka dawała operę niejakiego pana Wagnera pod tytułem Walkiria. Tkacz Johnke na muzyce się nie znał, a był strudzony, więc podczas przedstawienia chrapał sobie rzetelnie. Za to mały Zygryd był w siódmym niebie.

Zachwyt jego doszedł do zenitu, kiedy na scenie pojawił się Wotan, odziany w skóry, wsparty na olbrzymim toporze i kiedy sąsiad, gruby Niemiec-rzeźnik, siedzący w towarzystwie niemieckiej grubej żony, powtarzającej co chwila w ekstazie: „Das ist aber kolossal, das ist aber grossartig” — wytłumaczył mu, że dieser wilde Kerl — ten dziki „facet” — to jest główny bóg starogermański. A kiedy jeszcze na scenę w szaleńczych podskokach wybiegły walkirie i potem zniknęły za kulisami, skąd niebawem rozległ się niezły imitowany galop ich rozpędzonych rumaków, chłopiec zupełnie stracił głowę i, naśladując zwycięskie zawołanie Brunhildy, wykrzyknął kilka razy donośnie:

— Hejaha! Hajatoho! Hejaha!

Za takie niestosowne zachowanie się został natychmiast doraźnie skarcony silnym pociągnięciem za ucho przez ojca, który obudził się w tej chwili dostatecznie trzeźwy, aby zrozumieć od razu, dlaczego na całej widowni rozlegają się głośnie psknięcia oburzonych melomanów.

Mały Zygryd szybko zapomniał o bólu, ale ucieleśniająca potęgę Niemiec potężna postać Wotana i dziko cwałujące za kulisami walkirie pozostały w jego pamięci już na zawsze. I — mój Boże — aktorowi, który grał germańskiego boga, a po skończonym przedstawieniu wraz z tegimi, pierwszymi walkiriami popijał sobie przy bufecie cienie piwo łódzkie, zagryzając je parówkami z chlebem, nawet się nie śniło, że swoją więcej niż przeciętną kreację potrafił na długie lata rozpalic wyobraźnię pewnego chłopaczka — ba! — zmienić jego los, wysłać na naukę do Berlina i wreszcie przyczynić się do utworzenia w kolonii Na Grobli Związku Czciocieli Wotana.

Ten Związek, którego założenie wywołało uznanie Berlina, był chluba doktora Johnkego, jego ukochanym dzieckiem, prawdziwym oczkiem w głowie. I, oczywiście, tkwiło tu pewne nieporozumienie. Amt do spraw Niemców wschodnich uważał zrzeszenie, powołane do życia przez młodego nauczyciela, tylko za jeden z wielu środków swej polityki. Srodek odbiegał nieco od zwykłego szablonu, ale amt berliński

ski patrzył na to przez palce. Cóż to mogło zaszkodzić sprawie, że chłopcy poznają trochę gruntowniej mitologię starogermańską? W Berlinie wiedzano dobrze o słabostce dra Johnkego i uznawano go po trochu za dziwaka, ale za dziwaka pożytecznego.

A tymczasem dla młodego nauczyciela była to kwestia wiary. Dr Johnke był daleki od bezbożnictwa. Odczuwał potrzebę religii. Ale jego religią — i to doskonale zgadzało się z romantycznym nastawieniem tego szczególnego umysłu — był kult starogermański. Dla niego Wotan był prawdziwym gromowładnym bogiem, najwyższą istotą, której należało się obawiać i do której trzeba było się modlić.

Religia dra Johnkego od początku do końca była przemysłowa, gruntownie, po niemiecku. Raz powiedziaławszy sobie, że musi wierzyć w panteon starogermański, doktor Johnke przeprowadzał swoje postanowienie konsekwentnie, nie tylko w stosunku do samego siebie, ale również w stosunku do członków swego Związku, których uważał za przyszłych krzewicieli odnowionej wiary pogańskiej.

Dla nich to, dla tych dziesięciu wybranych młodzieńców, wśród których byli trzej synowie Wilhelma Ernina, wymyślił skomplikowany ceremoniał zebrań, na które zjawiali się wieczorem, wynawiając przed drzwiami zmieniane za każdym razem słowa umówionego hasła. Na tych zebraniach, odbywanych zresztą w lokalu szkolnym, bo to było najdogodniejsze, tłumaczył im dr Johnke ustaloną przez siebie świątynię, łączącą państwo narodowo-socjalistyczne z dawną Germanią. Wyjaśniał im, że swastyka niemiecka, to tylko cztery topory Wotana, zwrócone ostrzami w cztery strony świata. Obwieszczał w ekstatycznym uniesieniu, że sam znak ten jest już zapowiedzią przyszłego zwycięstwa Wielkiej Germanii, zwycięstwa rasy wyższej i lepszej od wszystkich innych. I jak cierpliwy cieśla dzień w dzień wbija drewniane ćwieki w grube deski, tak on w te nieokreślane, wiejskie głowy wbijał bez przerwy przekonanie, że cnoty starogermańskie i potęga niemieckiej ojczyzny, to jedyny ideały, którym oni winni służ- (D. C. n.)